

Mruczenie w czasach zarazy

Pewnego marcowego dnia dostałam SMS „Wszystkich słuchaczy UTW zapraszamy do udziału w konkursie na pracę wspomnieniową”. Co to, jak to!!!. Żeby coś napisać, potrzebna jest swoboda, wolne myśli i skupienie. Tymczasem ja czuję się ograniczona, bezradna, przestraszona i smutna. Strach o moją mamę, dzieci, męża, wszystkich, których kocham i są mi bliscy. Lęk ogarnia mnie coraz bardziej. Wokół zaraza, co tu wspominać? Buntuję się. Wyszłam na podwórko. Pięknie kwitną szafirki, krokusy, nawet główkę nieśmiało wychylił pierwszy tulipan. Niby wiosna, niby pięknie, niby kolorowo, a jednak ... Wracam do domu, robię kawę, siadam w fotelu, a na kolana wskakuje Henio. Jest to mój ostatni kot – przybłęda. Tak, w tych czasach, gdy musimy żyć w dystansie z ludźmi, których kochamy, tylko zwierzęta można bezkarnie przytulać. No właśnie. Moje koty. Jest to spore stadko. Może by napisać o tym, jak zawitały one do mojego życia, a nawet jak nim zawładnęły?

Zawsze w dzieciństwie, potem już w dorosłym życiu, towarzyszyły mi psy. Było ich kilka. Każdy niepowtarzalny, mądry i bezgranicznie kochający. Pięknie i rozsądnie żyły one z naszymi dziećmi. Nie wyobrażałam sobie dnia bez kontaktu z psem. Koty to już inny świat. Co prawda, mój tata miał swojego ukochanego kota, ale ja i on - to absolutnie nie lubiąca się para. Delikatnie rzecz ujmując nie lubiłam pupila mojego ojca i unikałam wszelkich kontaktów z nim. On oczywiście odwzajemniał mi się podobną niechęcią, a nieraz wręcz wrogością. Na pewno wiedziałam, że koty to dranie i nigdy w życiu nie będę ich miała.

W 2007 roku przeprowadziliśmy się na wieś. Niby gospodarstwo, niby podwórko, a tak tu pusto. No tak potrzebny jest pies, bo ten, który mieszkał z nami w mieście, został z naszymi dorosłymi już dziećmi. Był staruszką i zarówno my z mężem, jak syn i córka, podjęliśmy decyzję, że zostanie z nimi w Łodzi. Ciągle narzekałam na brak zwierząt, aż pewnego dnia sołtysowa podarowała mi małą, czarną kocicę. Na bezrybiu i rak ryba - myślę sobie. Nazwaliśmy ją Nocka, gdyż była czarna. Moje kontakty z kotką wyglądały nawet dość przyjemnie, ale po dwóch miesiącach nie wróciła ze spaceru. Razem z mężem szukaliśmy jej dość długo. Niestety, ślad po niej zaginął. Wkrótce w naszym domu pojawiły się dwa psy: jeden labrador z rodzinnej decyzji, a drugi to piękna sunia - przybłęda. Zadomowiły się dość szybko, zawładnęły podwórkiem i stały się strażnikami obejścia. Pewnego dnia fachowiec, który remontował u nas dom zauważył, że kolejny raz znikają mu kanapki z samochodu. - Pani Małgosiu, niech pani zamyka psy, bo potem nie mam śniadania – stwierdził z przekąsem. - Jak to, przecież zwierzęta są zamknięte! – odpowiedziałam. Okazało się, że po czterech miesiącach wróciła Nocka. Była w ciąży i postanowiła urodzić małe na swoim podwórku. Niestety, psy zachowywały się wobec niej mało życzliwie i kotka odeszła od nas na dobre. Teraz już wiem na pewno, nie będę miała kotów. Widocznie ludzie dzielą się na „psiarzy” i „kociarzy”, a ja pozostanę ze swoim przywiązaniem do psów, zaś koty to nie mój świat.

Jest 2010 rok. Moja serdeczna, nieżyjąca już, koleżanka Ania, która była wolontariuszką w kocięj fundacji w Warszawie, dzwoni i opowiada mi dramatyczną historię. Jej przyjaciółka, szefowa organizacji choruje na nowotwór krtani, jest po operacji i w swoim domu ma dwa cudem ocalałe małe, białe kotki. Są to bracia. Pani Jola, bo tak miała na imię prezes fundacji, ze względu na stan zdrowia nie może się nimi opiekować. Próbowwała co prawda oddać jednego z tych kotów do adopcji, ale po dwóch tygodniach wrócił do niej z powrotem. Zdemolował dom, w którym się znalazł, mimo że wcześniej był spokojnym i łagodnym kociakiem, dostał dzikiej furii. Najlepszym sposobem będzie oddanie komuś dwóch kotów razem, bo są ze sobą żyte. Propozycja raczej nie do odrzucenia jest taka, abym to ja je wzięła. Są już oczywiście wykastrowane, zaszczepione i cudowne. Poczułam się przyciśnięta do muru, ale...

Jest sobota, ślub córki mojej przyjaciółki. Z fundacji w Warszawie mój mąż przywozi w transporterku dwa koty i dużą paczkę (wyprawka Jacka i Placka, bo tak mają na imię).

My do katedry na ślub, a koty spokojnie siedzą w samochodzie. Przyjeżdżamy do domu. Wypuszczamy koty. Otwieramy paczkę wyprawkę, a tam jedzenie dla nich na dwa tygodnie, posłanka, miski, zapisany szesnastokartkowy zeszyt z instrukcją, jak je traktować oraz akt adopcyjny. No nie powiem. Jesteśmy przerażeni tymi zaleceniami, przynięceni odpowiedzialnością. Codziennie do fundacji mamy przekazywać sprawozdanie i przysyłać zdjęcia, jak koty odnajdują się u nas. Cudownie, koty gdzieś się schowały, nie chcą pić i jeść. Do tego mamy podpisać akt adopcyjny, który brzmi: „będziemy traktować koty jak członków naszej rodziny”. Mój mąż żartuje, że nie podpisze, bo nie zawsze członków rodziny dobrze traktuje. Już żałuję, że wzięłam koty. Przez dwa tygodnie było w naszym domu nerwowo. Rozwód wisiał w powietrzu. Nie wiedzieliśmy, co one robią, a do tego fundacja chciała zdjęć z kotami. Niestety, nie mogliśmy kociaków znaleźć, bo gdzieś się ukryły. Wreszcie są nasze dwie piękne śnieżnobiałe zguby – Jacek i Placek. Co prawda jeszcze nieufne, ale bardzo głodne i łapczywie zaczynają jeść. Wysyłamy pierwsze zdjęcia do fundacji, podpisujemy akt adopcyjny i rozpoczynamy koci czas. Okazuje się, że Placek jest głuchy jak pień. Nie słyszy największych hałasów i wrzasków. Pani Jola miała usuniętą krtań, nie mówiła, więc nie wiedziała, że jest głuchy. Faktycznie pomyśl, aby były razem, to jedyny sposób adopcji. Obserwuję, jak Jacek dba o głuchego Placka. Zostawia mu miskę jako pierwszemu, jest wobec niego czuły i opiekuńczy. Mówi się, że ludzie zachowują się jak zwierzęta – to znaczy jak? Że z troską, dbają o słabszego, są delikatni i uważni na innych? Trzeba ten stereotyp zmienić.

Mój mąż pracuje w Warszawie, wyjeżdża w poniedziałek, a wraca w piątek. Mieszkam z kotami. Oczywiście, każdej nocy mam Jacka i Placka przy plecach, i nogach w łóżku. Uwielbiam to ich mruczenie, które mnie usypia każdego wieczoru. Nie tylko one czują się bezpiecznie, ja również mam się dobrze. Placek z racji swojej dysfunkcji trzyma się blisko domu, jego ulubionym miejscem jest ganek. Chociaż nieraz zdarzają się sytuacje, że zapuszcza się na drogę. Niby ona mało ruchliwa, ale gdy przychodzi sobota i niedziela, pędzą po niej z niewiarygodną prędkością quady. Najpierw chciałam powiesić tablicę: „Uwaga głuchy kot,” ale myślę, że nikt nie traktowałby tego poważnie. Dlatego razem z mężem rozpoczęliśmy kampanię informacyjną wśród kierowców quadów. Zatrzymywaliśmy pojazdy i opowiadaliśmy o Placku, prosząc o wolną jazdę przy naszym siedlisku. Coś pięknego. Poskutkowało. Najpierw słysząc ogromny warkot gdzieś pod lasem, ale gdy quady wyjeżdżają na drogę wzdłuż naszej łąki, zwalniają, przejeżdżają obok naszego domostwa, a potem znów pędzą. Nie mam pewności, że są to ci sami kierowcy. Myślę, że przekazują sobie tę informację.

Placek, jak przystało na głuchego kota, jest dość niezgrabny i zdarza mu się zrzucać, i tłuc różne przedmioty. Jacek to szeryf okolicznych lasów - ciągle buszuje po łąkach i polanach. Niestety, ze swoich polowań przynosi martwe ptaki lub myszy. Wiem, że to dowód jego wdzięczności i dbania o mój pełny żołądek, ale nie jest to wcale przyjemne znaleźć ptaki na stołach lub myszy na poduszkach. No cóż, kocie wyznanie miłości ma wiele wcieleń i gdy tylko widzę zmrużone oczy Jacka, który w ten sposób przesyła mi kociego całusa, oznaczającego prawdziwe oddanie, wybaczam mu wszystkie martwe myszy i ptaszki.

Siedem lat temu mój spokojny, letni dzień przerwał telefon od przerażonej Blanki (wspólnej koleżanki mojej i Ani, tej od Jacka i Placka). „Małgosiu, jestem na wsi u mojego brata. Jego sąsiad chce zostawić sobie dwa koty, a dwie kociczki z tego miotu chce utopić. Proszę, błagam, przygarnij je”. Następnego dnia pojechałam do Warszawy, gdzie czekała Blanka. Dobrze, że zabrałam ze sobą kontener, bo zostały mi przekazane dwie słodkie trikolorowe kotki. Dostałam jeszcze dodatkowe informacje: obydwie mają świerzb i pchły. Zaczynamy leczenie. Początkowo obawiałam się, że Jacek z Plackiem mogą się zarazić. Lecz gościnność moich kotów objawiła się tym, że najpierw na tydzień gdzieś zniknęły, a potem obchodziły je dużym łukiem. Kotki zdrowieją, a ja szukam dla nich imion. Skoro są z podwarszawskiej wsi, to tylko Sawa i Wawa. Sawa ma niespotykane umaszczenie. Moja mentorka od kotów, sołtysowa, mówi, że jak żyje 70 lat, to takiego kota nie widziała. Sawa jest piękną, proporcjonalną kotką

z wdziękiem i tajemniczością. Waweczka - malutka, drobniutka i szalenie ufna. Widać, że to siostry. Każdy dzień zaczynają od dawania sobie buziaczków, lizania uszu i wspólnego śniadania. A Jacek z Plackiem już mniej się boją i zaczynają do nich podchodzić. Obwąchują i coraz częściej, jak na dżentelmenów przystało, ustępują damom miejsca przy miseczkach z karmą. Nawet pozwalają im spać na swoich kocykach na parapecie okiennym.

Moje kotki mieszkają w domu, lecz ciągle są na dworze. Przychodzi czas sterylizacji. Wiem tylko tyle, że będzie to w ich przypadku operacja. Brzmi poważnie i groźnie. Umawiam się z koleżanką weterynarz i jadę do lecznicy w Łodzi. Wieczorem zabieram je z powrotem do domu, każda ma na szyi kołnierz, aby nie lizała ran. Szaleństwo. Zaczynają chodzić tyłem, przewracają się. Początkowo myślałam, że to jakieś objawy neurologiczne. Okazało się, że tak reagują na kołnierze. Pani doktor przebiera je w urocze sukieneczki pooperacyjne, które mają chronić rany. Dwa tygodnie mijają już bez szczególnych kłopotów. Po zdjęciu szwów coraz odważniej wychodzą na dwór, aby eksplorować teren. A ja każdego dnia dostrzegam, że moje kotki mają bardziej dziką naturę i są zdecydowanie bardziej tajemnicze niż moje trzy psy. Natomiast okazywanie miłości przychodzi im równie łatwo i uwielbiają to robić. Cudowne jest doświadczanie bliskości, gdy Wawa patrzy na mnie i mruży swoje szare oczy. Wiem, że w ten sposób posyła mi kociego całuska i pokazuje swoje oddanie i bezgraniczną miłość. Teraz Waweczka jest tłusciutką, lekko ciągnącą brzuch po ziemi kotką z sex-appealem. Mimo sterylizacji zawsze wiosną ściągają do niej kocury ze wsi i zaczynają się marcowe harce. Podobno sex mamy w głowie, a koty ...?

Ulubionym miejscem na drzemkę jest dla niej laptop, każda biała kartka i biały obrus. Zresztą z białym obrusem kojarzy mi się pewne zdarzenie. Wszystko było przygotowane na kolędę, na stole biały obrus, krzyżyk, lichtarzyki ze świecami i oczywiście kropidło, i talerzyk z wodą święconą. Podjeżdża proboszcz, wychodzę na próg, aby go przywitać. Tyle wystarczyło Waweczce, aby wskoczyć na biały obrus i wypić wodę święconą. Ksiądz był oburzony faktem, że kot na stole, że w domu, bo jego miejsce jest na dworze. Ja w uniesieniu nawiązałam do Arki Noego i zrobiło się dość nerwowo. Przyszła następna kolęda, wyrzuciłam na dwór wszystkie koty. Przyjeżdża ksiądz. - A gdzie kocięta? – zapytał z zainteresowaniem. Oczywiście, że na dworze, żeby nie było ekscesów – powiedziałam. Proboszcz wyraźnie był zaskoczony nieobecnością moich pupili.- Niech je pani wpuści do domu. Widać mają one w sobie coś, co podbija ludzkie serca.

Siostra Wawy, Sawa to kotka o niespotykanym umaszczeniu trikolorowym. Jest, z całą odpowiedzialnością stwierdzam, terapeutycznym kotem. Odkryliśmy to wówczas, gdy Ola, moja córka, miała ogromne problemy z chodzeniem po dwóch operacjach kolana. Mieszkała wówczas z nami przez trzy miesiące. Sawa spała z nią każdej nocy, przytulona do kolana, chodziła na każdy krótki spacer. Po prostu stała się jej cieniem. Trochę się z tego śmialiśmy, trochę to podziwialiśmy, jednak nie wiedzieliśmy, o co dokładnie chodzi. Cudownie przymilała się do córki, łąsiła się, ocierała swoją głowę o głowę Oli. Było to tak czule i intensywne, jakby chciała jej powiedzieć, że ją bezgranicznie kocha. Gdy córka wyzdrowiała, to wróciła do domu z bagażem wspnianych wspomnień.

Nastała jesień. To bardzo trudny czas dla mojego kręgosłupa. Przychodzi wieczór, a z nim pojawia się przejmujący ból w dobrze mi znanej okolicy lędźwiowej. Wszystko, tylko nie znowu szpital - myślę, układając się ostrożnie do snu. A tu Saweczka wskakuje do łóżka, wdiera się pod kołdrę i jak długa rozciąga się wzdłuż bolącego odcinka kręgosłupa. Ogarnia mnie ciepło i błogość, choć boli bardzo. Dobrze po północy zasypiam. Gdy budzę się rano, kotka w dalszym ciągu „obkłada” mój kręgosłup, w nogach śpią Jacek i Placek, a po bólu ani śladu. Niestety, nie jestem okazem zdrowia. Na wiosnę dopada mnie ból zatok. Tylko ten, kto chorował na tę dolegliwość, wie, co znaczy rozsadzający głowę ból. Tabletki nie działają. Nie ma pozycji, która dawałaby ulgę. Po prostu koszmar. Jest sobota wieczór, potem niedziela i dopiero w poniedziałek będę mogła pójść do lekarza. Jak ja to wytrzymam! Kładę się spać. A tymczasem

Sawka wskakuje na moją głowę i mości sobie wygodne miejsce na czole. Coś jest na rzeczy, a może moja „lekarka” i na zatoki znajdzie sposób. Niesamowite – kompres uczynił cuda i po kilku okładach z kota po bólu ani śladu. Nie wiem, jak to interpretować, ale Sawka jest na pewno terapeutycznym kotem. Jeśli tylko coś boli mnie lub męża, zawsze wie, jakie to jest miejsce i się przy nim układa. Nasza cudowna, domowa lekarka.

Mija czas. Jacek z Plackiem mają już sześć lat, a Wawa i Sawa kończą trzy. Mąż wrócił już na stałe do domu, po wielu latach pracy w Warszawie. Jesteśmy razem. Pierwsze nasze wakacje. Mieszkamy (w zależności od tego, jak się na to spojrzy) na końcu lub początku wsi, na uboczu pod lasem. Do najbliższego sąsiada mamy pół kilometra, sielsko i spokojnie. Siedzimy na ganku, psy i koty razem na podwórku, no po prostu sielanka. Nagle wszystkie cztery koty zaczynają wydawać głuche pomruki gdzieś spod brzucha, mają naprężone ogony, którymi merdają. Każdy kociarz wie, że układ ogona jest bardzo ważny w odczytywaniu zamiarów i uczuć kotów. Niestety, przyjazne merdanie psiego ogona to coś zupełnie innego niż wrogie merdanie kociej kity. Ale co się dzieje? Wszystkie cztery koty stoją wokół ganku, jakby broniły jakiejś fortecy. Po dłuższym czasie z krzaków wychodzi coś malutkiego, czarnego i jak na kota dość koszmarnie wyglądającego. To maleństwo (ma około dwa miesiące) jest przeraźliwie chude, można powiedzieć, że składa się głównie z kręgosłupa i guza wielkości mojej pięści na szyi. Biorę to przestraszone i wychudzone biedactwo na ręce. To będzie mój piąty kot! Jeszcze nie mam pewności, czy to samiec czy samiczka. Ale jedno wiem na pewno, w pięć minut podjęłam decyzję, że będzie u nas. Zmrużył swoje piękne zielone oczy, otarł się główką o moją twarz i powiedział w swoim kocim języku, jak bardzo jest oddany i wdzięczny. Następnego dnia jedziemy do weterynarza, który ma nie lada problem, bo aby oczyścić ropień, musi podać zastrzyk znieczulający. Okazuje się, że z powodu wychudzenia kot w zasadzie nie ma mięśni, więc iniekcja nie jest możliwa. Pan doktor daje mi rękawice jak do przytrzymywania pitbulla, sam nakłada sobie podobne i na żywca przecina ropień. A kot po prostu bez miauknięcia, odchyła głowę i współpracuje z nami. Widać, że zabieg przynosi mu ulgę. Na koniec wizyty mój już nie najmłodszy i doświadczony lekarz mówi: „Nigdy nie miałem w swojej praktyce tak cierpliwego kota”. Te słowa stały się prorocze. A potem już rutyna. Po zakończonym leczeniu, kot zostaje wykastrowany. W przeciwieństwie do Wawki i Sawki po powrocie z zabiegu wybiega na dwór i na tym kończy się moja opieka nad nim.

A teraz imię – kot jest czarny jak smoła. Uwielbia, gdy leżę, ugniatać mnie łapkami jak poduszkę. Przypomina to trochę boksowanie. Czarny, do tego bokser, będzie miał na imię Tyson. Ma roczek. Lubi się bawić, uganiać za własnym ogonem i wskakiwać na drzewa. Uroczo zaprasza do zabawy dzieci. Podbiega do nich, aby go pogłaskały. Gdy one tego nie robią, odbiega, chowa się za drzewo lub krzak i czeka co się dalej wydarzy. Jeśli dziecko podejmuje zabawę, jest przeszczęśliwy. Jeśli nie, to kontynuuje cały swój repertuar „zaczepek” i zachęt do wspólnej zabawy. Daje nam to wiele radości. Każdego wieczora ugniata mnie lub poduszkę, na której leży. Pokazuje w ten sposób, że czuje się bezpiecznie. W ten sposób powraca do dziecięcych odruchów masowania matki. Tyson uwielbia podgryzać palce. Mówi, że jestem dla niego ważna. Nie przepadam za tą jego czułością.

Natomiast moja Mama, gdy latem zamieszkuje z nami, uwielbia te jego umizgi i podgryzania. Zresztą każdy jej przyjazd do nas rozpoczyna się od rytuału – babcia zostawia torby, wyjmuje już wcześniej pokrojoną szyneczkę i zaczyna obdzielać wszystkie koty smakołykami. Kojarzy mi się to z dzieciństwem. Gdy przyjeżdżali do nas ciocie i wujkowie, my dzieci, jak żołnierze ustawialiśmy się w szeregu i czekaliśmy na słodkości, które kiedyś nie były codziennością.

Wreszcie pojawił się ON.

Jest czerwiec ubiegłego roku. Na ganku domu, w którym mieszkamy, od pewnego czasu każdego ranka odkrywamy specyficzny bałagan, a to ktoś próbował dostać się do kociej lub psiej karmy, a to są wyjadane resztki jedzenia. Niby nic nie widać, lecz wyraźnie czuć, że mamy jakiegoś nieproszonego gościa. Po dwóch tygodniach bezowocnego szukania, sam z siebie pojawia się na podwórku cudnej urody młodzietki syjam. Ma on około roku. Niemożliwe, żeby zabłądził. Po prostu został podrzucony. Nie minął tydzień, kiedy kot nie zaproszony wskoczył na moje kolana i intensywnie zaczął domagać się głaskania i pieszczot. Moja koleżanka Ewelina uważa, że koty przychodzą tam, gdzie jest potrzebna energia. Moja teoria brzmi: pojawia się tam, gdzie trzeba się zatrzymać i usiąść. A przy naszym syjanie to jest konieczne, ponieważ kolana to jego podstawowe miejsce snu.

I znowu procedura - weterynarz. Rozpoczynamy od leczenia uszu, bo jest jakiś stan zapalny. Okazuje się, że koty syjamskie jako jedyne wymagają, by właściciel co najmniej raz w tygodniu czyścił im uszy. Następnie kastracja, bo to samiec. Podczas zabiegu okazuje się, że ma wnętrostwo, zostaje usunięte jedno jądro. A co z drugim? Nie wiadomo, gdzie uwięzło a koniecznie trzeba je usunąć, bo po pierwsze będzie znaczył teren, a po drugie jądro będzie rakowaciało. Umawiamy się na operację. Pani weterynarz, która wie, że w domu jest jeszcze pięć kotów, proponuje, aby po zabiegu syjam został w lecznicy. Będzie potrzebny kołnierz. Nie wiadomo, jak będzie reagował on i inne koty na taką sytuację. Niepotrzebny stres. Tęsknimy za nim, a on ma się zupełnie dobrze, chętnie je i szybko wraca do formy. Gdy po dziesięciu dniach jedziemy odebrać syjama z lecznicy, stażystka pani weterynarz koniecznie chce go od nas wziąć, bo podbił jej serce. Nie, nie, nie. On po prostu jest nasz. No właśnie, a jak mu dać na imię? Wymyślamy. Może „ostatni”, może „szósty”. Mąż rzuca swoje propozycje, ale żadna nam nie pasuje. Gdy pojawia się pięcioletnia Zuzia – wnuczka naszej sąsiadki, pytamy, jak nazwać kota. Ona bez chwili wahania mówi: „Henio”. I tak zostaje.

Cały czas zastanawiamy się, jak mógł trafić do nas młody, piękny, rasowy kot. Chyba rozwiązanie tkwi w tym wnętrostwie. Najprawdopodobniej ktoś chciał mieć z niego reproduktora, a takie schorzenie to uniemożliwia, więc po prostu go wyrzucił. Czytam o syjamach. Są dominujące w stadzie – prawda. Są bardzo związane z właścicielem – prawda. Wymagają czyszczenia uszu – prawda. Ale też swoje wiem z obserwacji. Henio prawdopodobnie w poprzednim wcieleniu był psem. Chodzi za mną krok w krok. Jest wiosna, więc razem pielimy grządki, sadzimy kwiaty, nawet do sąsiadów chodzimy razem. Henio z wysoko do góry zadartym ogonem pokazuje, że czuje się bardzo dobrze. Gdy siedzi, układa go wokół siebie. W ten sposób wyraża, że jest bezpieczny. Jestem pewna, że bardzo mnie kocha i chce mi towarzyszyć cały czas. Niby wszystkie koty moje, niby nie faworyzuję, ale Henio jest po prostu mój.

Dzisiaj, gdy patrzę na moje koty i wspominam, jak pojawiały się w naszym domu, i moim życiu, wiem, że to wszystko przez moją kuzynkę Olę, która wiele lat temu podarowała mi wycieraczkę (mam ją do dziś) z siedmioma kotami. No właśnie, a ja mam ich sześć. A może to nie koniec?

Jacek szeryf, głuchy Placek, pełna wdzięku Wawa, lekarka Sawa, bokser Tyson i Henio. Całe to stadko każdego dnia okazuje mi swoje przywiązanie i wdzięczność. Wszystkie one trafiły do nas ze swojej życiowej pożogi.

Ich miłość objawia się w taki sam sposób, jak ta między ludźmi, jest pełna czułości, kontaktu i pokazywania sobie, że jest się dla siebie ważnym. One to wszystko mówią mi codziennie. Przebywanie z kotami stało się dla mnie, nawiązując do obecnego czasu epidemii, potrzebą dnia codziennego.

Siedzę w kuchni, piję kawę, a na kolanach leży Henio i słodko mruczy.

Myślę, co się z nami stanie, gdy ucichnie epidemia. Czy wrócimy do starych „porządków”? – gonitwy, niedoczasu, braku uważności, życia zagłuszanego przez media, będziemy podejrzliwi i wrodozy wobec „innych”. Marzę, że pojawi się nowa rzeczywistość, w której mimo zniesionego zakazu wychodzenia z domu, będziemy chcieli z sobą być i rozmawiać, będziemy mieli dla siebie czas, będziemy uważni i czuli dla innych. Może w tym nowym czasie nikt nie będzie wyrzucał niechcianych zwierząt. A czas spaceru i zabawy z psem lub kotem stanie się jedną z ważnych chwil w naszym każdym dniu, które czynią nas ludźmi.